



Irena Słomińska

POGRANICZA

Pogranicza

Irena Słomińska

POGRANICZA

Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego
Białystok 2011

Redakcja: Kazimierz Słomiński

Malarski projekt okładki: Dorota Łabanowska

Copyright by Dorota Łabanowska, 2011

Posłowie: Grzegorz Czemiel



821.162.1-1

Copyright by Irena Słomińska, 2011

CZYTELNIA KSIĄZEK

ISBN 978-83-60368-76-3

Druk i oprawa:

Mazowieckie Zakłady Graficzne s.c.

18-200 Wysokie Mazowieckie, ul. Ludowa 89

tel. 86 275-41-31, tel./fax 86 275-49-85

e-mail: drukarnia@mzgraf.pl

KP Białystok-EO-2011/5222

*z pogranicza snu i krzyku poczęta
jakby na obrzeżu krwi
jak na marginesie myśli*

* * *

poczekaj na mnie przyjdę północną
porą gdy półmiłosną
grę zaczną duchy szatan ze światem
księżyc przetoczy się zarękawek
Boga
a nam pieśczętą spłynie po skórze
w zaułkach ramion wysoko wzbierze
to uniesienie co strugą potu
i poza nagość poza przywiedle
fałdy dla grzechu związanej skóry
wybiegnie jedno ufne spojrzenie
szatan na dole anioły z góry
gwiazdy gnieźdzące się w firmamencie
jeszcze swym sztucznym blaskiem omamią
tę półwidownię co półzakłęcie
niesie wysoko skrzydła u ramion

* * *

ona kształt mój pewnie wieloraki
pryzmat
zmęczonego akwarium
gdzie nabieram mocy z godziny na godzinę
jestem
ryba i woda i wodorosty
i sztylet światła który mnie podziela
rozprysły
na pierwotne żywotne kolory

wszystko płynie mówi
ziewa parą zaciągnęła patrzenie
nie toń mówi
chcę mieć jeszcze ziemię
jelenie dogasające na wrzosowiskach
zapach gliny twardy i proroczy
nie patrz mówi
prawda
po co ci oczy

* * *

to mocne
tak to nawet bardzo
mocne
mocniejsze ode mnie

tamten drażniący głos
jak ten dokonany wszechświat

tamten rozbity zapach
jak ta dokonana zapłata

sprzedawali na spóźnionej planecie
słodkie rodzyнки za uśmiech
a pani będzie miała kołacz pełen grzechu
złoty
okrągłobiodry

to piękny kształt
w kształcie się ucieleśnia
modlitwa na wysokościach

migotanie migotanie migotanie
aż powiekę rozsadziło wewnątrz
a ja wam na rękę pójdę

takie małe ręce
moja
prywatna apokalipsa

* * *

mała medea która drzemie we mnie
rano przeciera oczy zdziwiona mówi jeszcze
wcześnie sprawdza ostre tykanie budzika
na skórze
jak nóż do krojenia chleba

wącha kropelki potu osiadłe
zwierzę puszysta łasica penetrująca
zapach
to miłość mówi do siebie i wtedy jest mężczyzną
tak to brzmienie głosu
sprawdzić jeszcze raz w sobie zanim je odejmie

boli
odbicie krwawe szwu kołdry na skórze
jaskrawe pęknięcie w statuetce z brązu
które trwa tylko chwilę potem się rozplynie

MARTWA NATURA

twoja nieistotność usiadła naprzeciw
zarzuciła niewidoczną nogę na nogę
owinęła się potocznym szalem szemrze

krwawa papryka w szybie dłoni otwarty
strąk wilgotna warga

mówię martwa natura jednym dotknięciem oka
unicestwiam sens – puls istnienia
ostra woń marchwi drąży twoją obecność
garnek ociera się o garnek

mówiłaś że poezję czytasz ciałem
że w twoich tkankach drga jeszcze barwa
Cezanne'a

na podłodze zeschnięta nać
kontur

EROTYK I

krzyczały miłość
ptaki rozpierzchłe chmurą rzucone na wiatr
i niosło nimi prosto w nagą ścianę słońca

EROTYK II

powiedz to tak się ciepło nawija na ręce
osiada na oczach i włosy osacza
rwane do lotu zwilgotniałym wiatrem

nie mów mam pełnię księżyca zamkniętą
w szkatułce jasnej od pomarańcz pełnej
żywicy

nie sprzedawaj mnie latem na straganie w książce

* * *

tańczę
pod rozpiętą parasolką
jak pod chmurą
gołębi

i to nieprawda że w powietrzu deszczy
i złuszcza się
deszcz

płyty chodnika wciąż pragną
a nie mogą się
dotknąć
to jest ten rodzaj miłości który
przetrwa
śmierć

przeskakuję z płyty na płytę
o zmieniam was jak rękawiczki
płyty

i nie wiem czy to wolność czy anarchia
wpada w ekstazę
pod tym podniebnym wielokrotnym
gołąbkim Picassa

coś przecież trzeba kochać
no nie?
kiedy już wypuściło się z rąk
barwne
baloniki miłości

jedno wiem
nie mogę rozstać się
z parasolką

wiruję
wariuję
by w końcu złożyć parasolkę
i układać się
z życiem

* * *

gdy na nieboskłonie
zawirował ptak
gdy lotem pikującym
zmierzał wprost ku ziemi

myślałam o locie
dusza wyrywała mi się na podniebne szlaki
mała ptasia dusza która nasłuchiwała się
o albatrosie

a przecież był horyzont domu
a przecież był horyzont rodu
i to co najtrwalsze byt
na skraweczku ziemi dawno przypisanym

w rozdarciu
sprawdzamy się najpełniej
w rozdarciu
mamy skrzydła
w rozdarciu dotykamy i weryfikujemy
marzenie

kochaj mnie rozdartą na niebo
i świat

CZUŁOŚĆ

czułość
wazy greckiej tak dawno opisana
stała się w przestrzeni
intymnej

im doskonalszy kształt
tym bardziej myślą wędrujący dotyk

siedzimy obok siebie
skupiony w obojętnym czasie
nawet nie wiesz jak bardzo zakreślasz
granice

i ta świadomość ładu potrafi mnie jeszcze
podtrzymać na duchu

nie dotknę cię nawet
szelestem
oddechu

książka otwierająca się na dowolnej stronie

tak świadoma obcość
że każdy powrót zda się przeznaczony

* * *

Safona była nauczycielką
poezji muzyki i wdzięku
w słowa pieśni wplatała tańczące dziewczęta
i łatwiej jej było
kochać

lekką drżały potrącone struny liry
lidyjskiej
gdy dziewczęta
śpiewem rozproszonym w blasku Selene
oddawały miłość Safonie

czy była to świetlista mgielka iluzji?

odchodziły
do swoich mężczyzn w których węchem
rozpoznawały kobiecość i miękkość

czy kochały w nich Safonę?

czy też nagle odmieniły się role
i dziewczęta
stały się nauczycielkami poezji i wdzięku
i łatwiej im było
kochać?

ŻYCIORYS

im bardziej nieudolnie napiszę wiersz
tym bardziej będzie
mój
ascetyzm bywa także ideologią
dlatego nie trzeba wstydić się słów
krzyczących
jak sztuczne papugi na straganach

czasem idę sobie o zmierzchu
i zbieram zmierzch
pełna go jestem od stóp do głów
i nikt nie może mnie posądzić
o nieroztropny optymizm

śledzę
krok po kroku wędrującą wyspę
tego co jeszcze archaicznie nazywam sumieniem
kiedyś będę musiała przymknąć oczy
w życiu nie można wiele zrobić dla przyjemności

muszę kończyć
w życiorysach
można tylko o nieistotnym



* * *

ich dwoje
dwoje na tęczy
jak na podniebnym moście
prościej
ich dwoje
jak przez przypadki
paleta barw odmienia
ich dwoje
dwoje na moście
(to tylko punkt widzenia)
tak łatwo ich strącić do piekieł
tak blisko mają do raju
i nie ma na całym świecie
przypisanego im kraju
ich dwoje
dwoje na tęczy
nic i wszystko
czy miłość ich unosi
najodleglejsza bliskość
brak odpowiedzi w pytaniach
i w odpowiedziach pytanie
poczekaj może za chwilę
świat się stanie

PIOSENKA I

ta piosenka się toczy
pomaleńku maleńku
zielony owalny groszek
w każdy zakątek ciszy
tak niedotknięty jeszcze
tak sumienny i czysty
potem z groszku wzrastanie
cieniutka wybujalność
znacząca swoje nitki
na stojącym powietrzu
tak dźwiękiem się odciska
każdy załążek słowa
na którym cienie myśli
grają zmienny światłocień
niedaleko od śmierci
i blisko od narodzin
niedaleko od siebie
a poza szybą świata
nad którym niebo Kanta
moralność jak kantata
bogactwo dźwięków kładzie
w tygle form coraz nowych
w mojej skromnej piosence
słowo dowierza słowu

PIOSENKA II

odbijałam się w kochaniu
jak woda
tak łatwo ci było znaleźć we mnie
swój kontur
a było to w krainie westchnień i dzwonów
w krainie początku
rodziłam się w tobie wiele razy
dziecię szczęścia dziecię nocy
a pomiędzy wersami pocałunków przemykał
giętki dziewczęcy warkoczyk
stroiłam się dla ciebie w falbany ciepła
plisę smutku
kiedy twa gorycz rodziła światy
trzeptałam na marginesach cichutko
to tylko walczyk szeptałam tylko walczyk
rozbierałeś mnie z nadziei i siły
nocą ciemną
i tak blisko było do mnie twojej ciszy
i rękóm
tworzyłeś dla mnie poematy wieczorów
kształty dni
i tak wiele było wymiarów
w przestrzeni lży

* * *

od skóry się nie ucieka do skóry się dochodzi
zmudnym wysiłkiem palców co niejasne bruzdy
żłobią w ciele jak w wodzie
zapisana byłam w tym ciele skóra się rozwarła
by mnie przyjąć dlaczego nie wzeszłam
jak trawa
o kochanku mój ziemio żyzna
zakłęcie
wypowiedziane nocą przesila się
o poranku

* * *

to tylko cisza przyprószyła pamięć
jawia się pola ze zmarzliną głogu
rana zastygła i przerosła usta

po słodycz głogu jak po ból
po nieskończoność śniegu
po osobność w zamku na lodowej górze

wysupływałam palce z rękawiczki

zapominając
jak rana odbiegła przyczyny
głóg krwi
miłość
co miała być owocem i nasieniem
twój marzący ślad
stopniał w gorączce liter

* * *

rozpadłam się a ty mnie złożyłeś
jak kopertę

teraz niosę przesłanie – miłość
dotykam twojej ręki
zaufanie tkanek
staje się coraz głębsze
zmarszczki
rozpoznają się w zmarszczkach

za nami pękają puste niepotrzebne lustra

* * *

malowana rysowana opisana
kobieta zdejmując wdzięk zanim
zniweczy go czas
zanim miłość
przełoży ją na języki
obce

przez chwilę
czyta się w lustrze
potem już na pamięć
reprodukuje obraz za obrazem

a gdy zostanie jej tyle tylko
ile odjąć można
od namiętności

snuje baśń

głęboko w szafie
przechowałam wdzięk
gdy go założę znowu będzie
święto

* * *

rozsypać koralem
zaszeleścić bursztynem
w półcień się schować
jak w jedwabną niszę

one mnie słyszą
one mnie słyszą muszle
kobiety otwarte co chcą
zrodzić perłę

szlakiem klejnotów iść
szlakiem zapachu bzu
omijając
sale szpitalne
hieroglify krwi
na prześcieradłach białych

widzę je mają pomarszczone twarze
za szybą wody
kamienie kamienie

* * *

Panie

spójrz na nas z lotu ptaka
tacy mali wśród skalnych masywów bloków
układamy barwy – zieleń sukienki nie zdecydowała
się jeszcze ku czemu się skłania – ku soczystości
trawy czy przymgleniu morza –
zanurza się powoli w szarość męzowskiego swetra
wnika weń jak woda w ląd

prawie nas nie widać
inne barwy maleńkich ludzi są bardziej agresywne
zaskakują
pornografią koloru

tuż obok przemykają
barwy ochronne staruszek
słońce
bezlitośnie żłobi w nich zmarszczkę po zmarszczce

jeszcze mniejsze
plamki barwne dziecinnie szybko zmieniają układ
znaczeń

mówimy językiem barwy do siebie
do Ciebie który patrzysz na nas z lotu ptaka
czytając między wierszami

DRZWI

dom żyje
w każdej jego komórce
rozsiera się
człowieczy świat
kupiłam buty czytałam Cwietajewą
błogosławię cię
na drogę
drzwi
są ruchome jak dawniej
drzwi przemakalne przesączające
światelko od sąsiadów

krzyk za ścianą rozprasza się w codzienność lęk
snuje podskórnie swoje wiotkie włókna

chciałam pożyczyć od pani szklankę cukru piękny
mamy dzień dlaczego siedzi pani wciąż w tych
czterech ścianach?

pisałam długo na maszynie czytałam Cwietajewą
błogosławię cię na drogę
drzwi
są ruchome że aż ich nie ma

OBRAZ W LUSTRZE

ingerujące w nas
przedmioty
poruszona przestrzeń
świadomość
która się staje

kiedy zawiesiłaś na ścianie lustro
czekałem na doznanie
twój podwójny obraz chybotał w powietrzu
smakowałem słowa jesteś tylko odbiciem
tego co przenika nas rzeźbione na powietrzu

razem pisaliśmy ten wiersz
w którym twoja pierwsza zmarszczka
stawała się statyczna
ta nieruchomość jest we mnie – to twój szept
znaki nieostre jak zmarszczki na fali

a mimo to tacy realni
wyskakujące w dotyku łasiczki mięśni
węszyć ciebie taka miękka sierść
porosła naszą czułość
każda komórka skóry osobno wdycha woń
brodzi w sierści niepamiętna związku

w poruszonym powietrzu wędrówka luster
skupiam się w coś o czym jeszcze nie wiem
lustro narzuciło nam swój nasz obraz
być może zatrzymaliśmy się
na drodze naszych cieni
do wnętrza
lustra

OKRĄGLE NOCE

już rozebrani do snu ciepło ubrania
chroniący w zakątkach mebli na oparciach krzeseł
wyzwoleni dla siebie niezgrabną pieśczętą
dryfujący po prądach sennych oceanów
odlegli i bliscy sobie
jak zawsze
schronieni w symbol ładu idealną kulę
toczący swoje boje swe okrągłe noce

przyzwolenie na miłość tak łaskawie dane
odsuwam na bok ręką – i władam i pragnę
słowa sensu dotyku który mnie maluje
na stojącym powietrzu
tworząc wiele mych twarzy
i życie potrójne
w czasie co był jest i będzie

i może się z zasiewu doczekasz owocu
przekroczysz granice skóry i dosięgniesz ducha
i jeśli natkniesz się na wielki płacz może
będziesz płakał wraz ze mną choć nie umiesz płakać
może poszerzysz świat swój i zgubisz mnie w świecie
bo tak się życie toczy tak się toczą noce

po krzyżujących się splątanych chaotycznych szlakach
swych ucieczek cierpieniem znaczonych jak głógiem
przy zakurzonej drodze
odnajdziesz mnie zawsze – w każdej swojej miłości
tej najświętszej także

* * *

absorbuję ciebie sobą
absorbuję ciało
na źrenicy pękam giętka
pomyśl łąka woda w łęgach łątka

tak się sobie wyobraża kobiety
obiekt architektonicznie wyraźny niestety
sprężona sobą do skoku tyle umiem
ile z twego rozumienia mnie nie rozumiem

wchodzę w ciebie nagą skórą
w mięśniach usadawiam się wygodna
myślisz godna a ja jestem tylko głodna
mały sztafaż się przelamuje w palcach chrząści
zastanów się po co ci takie rozumne pięści

nie rozproszysz mnie drapieżnej nie rozsiejesz miękkiej
coś tam jeszcze oczy przymyka na granicy lęku
coś tam jeszcze potoczyście sunie wypisywane od ręki

pomyśl jeszcze jedno próbowanie eksplozji
pomyśl jeszcze jedno uciekanie od korozji

wiara zjada po kawałku wiara się skórą dławi
wiara obżarstwem grzeszna na wiatr się nie wystawi
boi się przeziębienia rżenia w płucach braku oddechu

pozwól mi na niewiarę
miłości
nie robi się w pośpiechu

* * *

poszła na odczyt tematem był seks
padły dwa słowa kobieta mężczyzna
ustrzelone oddechem twarzy nalanej
do pełna
treścią
poszła z siwą powieścią pod pachą
pamiętała że krople spadały z dachu
rozbijały się na chodniku i umierały co było
złudzeniem

wsuwała swoje długie ręce ostrożnie
w ciszę
domysłu
to się bierze w rękawiczkach
tak jest lepiej
przed snem

* * *

Ptaka się sprężył do lotu,
pusto mu było w tej ulicy.
Tak, dokładnie w tej samej ulicy zwięzającej się
na najbliższym horyzoncie.
Pod siódmym, nie, to brzmi inaczej niż w kabale,
pod tą krzywą siódmką, której nie wypowiem,
namalowaną węglem na świeżo pobielonej ścianie,
rozpoczął się pobieżny dialog po schodach jak po słowie,
po stopniach raczej, lecz te były jak urwane zdanie,
powinny iść gdzieś wyżej, kończyły się właśnie na tej
ścianie.

Więc z przecinkiem, wykrętnie, w pauzie na oddech
jak rytualny rysunek pojawił się człowiek,
który nie brzmiał – bezpłodny klawisz, gdy mu struna
pękła,

można było przypuszczać, że brzękła i pękła
niezbyt dumnie jak nagle urwany oddech.
A może był to gołąbek Picassa, nie człowiek,
tyle z tą całą symboliką kłopotu ma każdy przechodzić.
A propos gołębi – powinny rodzić się w wodzie –
woda i powietrze dwa oboczne żywioły
i gdzieś tam pod powierzchnią upadłe nie do końca ofelie,
nie anioły, lecz rzęsy.

Nie mieliśmy z nim wiele kłopotu – przecież to o nas szło,
kiedy powiedziała:
muszę poprawić makijaż.

* * *

ta pani malowała kwiaty oprócz tego
prała mężowską bieliznę czesała chude nerwowe dziecko
a od dnia w którym wzeszła od powstania
pełna była
pośpiesznego zachłannego zaniedbania

miała jasną gładką Madonnę jak foremkę
w której długo i starannie układała rękę
i z tą ręką wąską zakrzepłą jak z raną
zakwitła przed Madonną malowaną

niepotrzebny był jej makijaż
epoki
bo obłoki nad napiętą czułą wargą to obłoki
nie nakłute na szpile anten
nie rozbite radiowym kurantem
świeże
jak puste czyste powietrze wężone przez zwierzę

brała drapieźnie duże ciało i opadała wypełniona
ciałem
a kwiaty które malowała były
małe

* * *

ona ma dwa przedmioty
wagi zupełnej
życiowej
termometr wzbierający rtęcią powyżej
głowy
i pantofle puszyste jak skóra lisa

liczy na dojście do kreski i miękkie oparcie stóp
liczy listy które dostaje i słowa których nie powie
bywa kobietą od dnia kiedy przemówił stół
na blat rzucony
oparty na głowie

dochodzi do siebie po przyjściu z pracy
a od akacji szepcze do kolacji jest jedno mgnienie
powiek
napiętych lekturą wieszczą

z leszcza
zdrapuje łuskę długimi paznokciami
w dużą dyszącą poduszkę
szepcze jesteśmy sami

* * *

kobieta wychodzi ze ściany
to taka ścienna kobieta
namalowana kolorową farbą
tuż przy niej rozkwita jaskrawy plakat
dziecko
z głową na karku

pomyśl ile było mitologii
jak kalendarzy ściennych z których
oddarto kartkę
po kartce

a może to tylko w proroczym śnie
ściana wysnuwa ideę kobiety
z jej brzucha
wysuwa się powoli idea dziecka

a może byłam tylko płaskorzeźbą
ze zbyt płasko wyrzeźbioną myślą
z wyklutą
dłutem artysty piersią

kiedy mała płaskorzeźba dziecka
jeszcze nie zdążyła zaistnieć?

* * *

kobiecość jak farfurka z porcelany
saskiej –
taka była droga
niedośmiałość mewy
na popasie przelewającego się słońca

okamgnienie
ekspansja powieki zarosłej trzcina
tak woda stojąca rzesą się przezielenia
tak żaba wychyla łeppek
rechocząc
na miłość

na miłość zaklinam pani
palce są jak żeglarze wędrujący
od kontynentu po
kontynent
a kość słoniowa żółknie i zdobywcy
mają twarze jak zasuszone liście

dlaczego pani umarła z miłości
a
może
pani umarła naprawdę

* * *

w starej drwalce rysunki zwierzoludzi
jak w archaicznym śnie
tam pręży się napięta cięciwa delfina
a lew ma w oku gorejącą gwiazdę
letniego południa
tu woda tam ląd
dotykają się lekko koniuszkami palców współlistnieją
ja jestem przemijaniem i wciąż cię rozkruszam
szepce woda a ląd zbiera uporczywie
okruchy na kolejną ziemię

spomiędzy palców desek wyskakuje ropucha
jest pożyteczna to wiem zebrała
w węzélku brzucha zapas muszek robaków
i jajeczek motyli
jej twarz jest twarzą kobiet
takich jak ja – pęka od życia
czasem ze zgryzoty

a kiedy cicho
czy można cicho
podejdę kolejnego dinozaura będziesz
zastanawiał się nad zagadką mej śmierci
jak zagładą gatunku

* * *

napar rumianku i deski podłogi
w opuszkach palców pamięć pierwsza druga trzecia
skupione jak w naparstku
przez igielne ucho
przesącza się zleżała poślōlcona przestrzeń
przesącza się jak zapach i rōżne ma twarze
wczorajszego rana szorowałam deski podłogi
umarłaś
dzisiaj szylam zbyt długo i boli mnie
igła

* * *

jesienią
kiedy liście przykryją alejki
a kasztany
spadają
kiedy na działkach zbierają
warzywa korzeniowe
a w brunatnej ziemi zaczynają
rozkładać się korzenie kwiatów
gdy bezpańskie psy wyją do księżycyca
nachodzi mnie nostalgia
za rozkwitem
wiosną mojego życia
bujnością lata

dzisiaj
liczę spłowiałe barwy
a w lustrach odbijają mi się
pomarszczone jabłka

i taka niedookreślona staję u progu
dnia

to czas zbierania plonów

w rękach zostało mi
powietrze

to co ludzkie
takie niepoliczalne

* * *

przypisani do tego domu
w jego okna wcieramy przeźroczystość
gwar ulicy przenika przez szyby
smugą światła i smugą cienia

zatrzymujemy rozpad przedmiotów
już na krawędzi ich czasu
mówisz posłużą nam jeszcze
tak gładko wyrzeźbione przez ręce
jeśli tylko się nie rozsypią
od hałasu

tak potrzebna nam pełna widoczność
by zniszczenia zmarszczki nie uronić
patrz rozpadł się nasz świat za oknem

dłoń ku dłoni
wędrujące dłonie wciąż scalają niewidoczną nicią
krąg przedmiotów w sieci
bo to przecież
jest tylko nasze życie

PRZEDMIEŚCIE

Świat wyobrażony
bardziej egzotyczny od rzeczywistego
zaczął mi się w małych zaułkach
obok drewnianych chat
i ogrodów z georginiami
tuż za zakrętem biegła duża spłaszczona ulica
związana pośpiechem samochodów
pędząca ku niewiadomemu punktowi
w odległej perspektywie

Człowiek w wyobrażonym świecie nie brzmiał
dumnie
był ułomny i szukał pociechy
w przypadkowych gestach rzuconych rąk
i kreślił swą łagodność na pochyłym krajobrazie

Chwila
w której zdałam sobie sprawę z rzeczywistości
ucieczki
zraniła mnie
życie

POŚWIĘCIĆ KLOWNA

poświęcam klowna pomyślał
i zabrał się do przyrządzania
pikantnej potrawy ze słów
gdyby za mało było wyrzeczeń pomyślał poświęcę
arenę nagą po przelocie psów
tresowanych tańczących spuszczonej z nici warg
w przestrzeń
powietrze
złapię pomiędzy głoską jedną a drugą – wdech wydech
siad
płaski
a potem nagle wyzwoli się czas
czas na oklaski

JESZCZE O PANU M.

pan M – terra incognita
spalona słońcem strefa
wyobraźni
w której okrągłej dzbany
głina odwieczne tworzywo
tworzy pana M w upale pieców
chłodzi
umiarkowanym klimatem domu
gdzie żona
koło garncarskie dnia oddzieliła
od nocy
szorstką materią prześcieradeł
na obraz i podobieństwo
statyczny przed statycznym
obrazem
wypełnia się słowami modlitwą
życiem materializującym się w
kwity miesięczne na gaz i światło
w pozycję
na liście plac
wyniosłość pana M
łagodzi miękki kontur brzucha
nocą
pan M porasta
roślinność pnie się
zielenieje pod gwiazdą
do której bliżej w górach
i opada z pana M cepeliowska kultura
ceramiczna
głina jest gliną kamień kamieniem
a pan M to ziemia
nieodkryta

* * *

marynarze wracają
twarze układają się w świetle
cząstki
kolejnej łamigłówki

wróciłem z przestrzeni bezkresnych
nawodnych
by tu układać się z życiem nad kuflem piwa –
z jego piany rodzi się obfita
wenus mojej żony która miłośnie przetrząsa
pękate walizy
a tej najmniejszej
co jest mną nie otworzy
nawet w najgłębszym śnie i to nie dlatego
że umarłaby z przerażenia
miętkość wnętrza bywa równie odpychająca
jak miętkość meduzy
i tak krucho mija
poprzez miłość i ręce i miłość i ręce

* * *

miasto wysuwa swoje macki
anektuje mnie
odczłowiecza

jeszcze taka pulsująca życiem
ekscytuję się
barwą
i kształtem

a potem
pole widzenia się zawęża
atakują domy
takie olbrzymie
z cegły i betonu
nie dają oddychać

a tłumy ludzi –
szmaciane kukielki ciągnione
na sznurkach
w swym zaaferowaniu są takie
obce

obce jest
moje miasto
gdy pozwalam sobie przeciąć
więzy
gdy uciekam

* * *

na ulicy jedności narodowej ostro
zahamował samochód
było to tuż przed zakrętem
w ulicę wyzwolenia
ofiara wypadku
leżała na chodniku – drgające
ręce –
wypadek
doskonale widoczny z okna
jak w akwarium
w którym ryba pożarła rybę
(trzeba być sadystą
żeby tworzyć
nienaturalne związki ryb)
czyżby następne
stadium ewolucji przewidywało
humanistę okonia który ostrożnie
zdejmuje skrzela
czesze
ostrą płetwę
spogląda łagodnie spod przymrużonych powiek
podczas gdy
w jego mózgu
naparzają się idee
żeby nareszcie
osiągnąć wyższą jakość

* * *

miasto bez ulic bez latarni
bez rynku bez kościołów specjalnych
obrzędów
miasto samej barwy
miasto nastrojów
miasto do którego pielgrzymowałeś
gdzie posypujesz popiół zmierzchu
na głowę
gdzie mit
funkcjonuje bez fabuły
gdzie bierzesz udział w rytualnym obrzędzie
pracy
śniadania kolacji
gdzie dzieci szczury wyprowadzasz
na świeże powietrze
rozpisujesz konkurs na wiersze
krzyczące jak plakaty
(ekspresja motywu abstrakcyjnego jak
morze)
miasto w którym czytasz sprawy tego świata
erotykę bezpośrednią Kierkegaarda
wielką pustynię przelewającą swój piasek
w klepsydrze
gdy szykują
zamach na ciebie którego nie ma
długowłose zegary
gdzie kości Wojaczka pochłaniają i wydalają
gwiazdę

* * *

w teatrzyku cieni
na rozpostartym prześcieradle
defilują
bataliony wydartych z papieru
żołnierzyków

to takie nieludzkie
wyrwać z papieru serce

potem nadchodzi czas kiedy ustaje
parada defilad

czas wojny
czas śmierci

cienie armat wyrzucają cienie dymu
załamuje się
linia natarcia natarcia z papieru

na czyj żołd
przejdą teraz bataliony żołnierzyków
w teatrze cieni

* * *

*Tak mi się zdaje, że jesteś, mój czasie,
Bezprawny – tak jak wszystko...*

Osip Mandelsztam

„Dzisiaj już można by zdjąć kalkomanię...”

kiedy wojska Franków
podbijały ziemie Germanów czcicieli
drzew
nie istniał jeszcze
nasz humanitaryzm

za te święte drzewa ludzie kładli głowy
już na inaczej
święte pnie

rew podpływała pod korzenie
jak woda podskórna

nie to nie była rew
to święty ogień
Ziemi
jej wewnątrz mówiło rwącym głosem
poprzez ściany skorupy

archeologowie
łudzą się czasem że z glinianych skorup
wydłubią ich jądra
pamięć
co winna się żarzyć

jak wszystko co było sacrum i być nim
przystało?

ANTYKWARIATY

Jak mech plenią się w antykwariatach
odciski palców –
cóż za dowód zbrodni
lub choćby współdziału
w myśli

Stary antykwariusz jest jak rabin
który w twoim
wewnętrznym oknie zapala
szabasową świecę

I dzieje się tu czarna magia lub magia mieszana
jak pręgowana zebra: czarne białe czarne białe
Tylko przejść przez ulicę...
a dosięgniesz brzegu
jest jak ratunek
jak łono kobiety

To takie zrozumiały że chłopcy z SA
tak żarliwie i długo palili tę wielokrotną
czarownicę
Jej włosy
mnożyły się ciągle jak karta po karcie

Znałem takich autorów którzy
ocaleli mimo dowodu zbrodni
W działach rękopisów
leżą i kruszeją butwiejące kartki
kruszeją dłużej niż kości i włosy

Tu dzieje się historia i trwa wieczne
przekraczanie granic

Aneksje
są takie częste potem ziele plama
pustki
Przed nagrobkiem
przypadkowy przechodzień
pomyśli czasem:
*Spoczywajcie w Bogu
jak my nieśmiertelne
prohibita*

* * *

pamięci Ojca

wciąż obecny na ulicach miasta
ty który podzieliłeś się ze mną ciałem i krwią
twój pochyły cień znaczy chropawe mury
mury do zmierzchu klonią mój i twój dzień

byłam tylko projektem kiedy mierzyłeś czas
goryczy czas zbrodni
kruchym naczyniem ciała
kto zapisał cię jak sylogizm w historycznym
sporze?

pamiętam tylko ciepło twojej ręki łagodne
kołysanie słów układających mnie jak bajkę
do snu
mury kruszały krzycząc rzeczywistość

z pogranicza snu i krzyku poczęta
jakby na obrzeżu krwi
jak na marginesie myśli

PIĘTY

już nie umiem napisać niepokornego wiersza
zagarnęło mnie półkole snu
i łatwość przyjmowania tabletek
przyswajania bajek
zapominam już o pięcie
Achillesa
bardzo ważnej pięcie
bo czyż bój sprawiedliwy
mógłby toczyć śmiertelny z nieśmiertelnym
i czasem myślę sobie że jestem
jedną ogromną legendarną piętą
i dookoła widzę same pięty
pięty na wystawie u fotografa
pięty na portretach
pięty w tomikach wierszy
które mają gładkość wypielęgowanej
słodko pachnącej skóry taką piętę
można ze czcią całować
wkładając w to miłość

ale to tylko moja nieostrość widzenia
czasem we śnie czuję jak się zмага
dwa rzeczywistych mocarzy
człowiek i czas

* * *

to było tak

wziąłem
madonnę niebożątko baranka i noc
ustawiłem na styku alej
a z góry bryły światła a od sklepu
skaczący neon
a poza tym dźwięki się piętrzą
jazz na komunikat sportowy śmiech dziewczyny na spór
dwóch łysych panów wracających z kursokonferencji
a to wszystko na...

uniosłem głowę madonnie –
niebożątko już dostosowało się do
otoczenia i przestało być niebożątkiem
zuchwale wkomponowało się
baranek bo przygłupi stał jak stał
tylko nocy było nielekkko czegoś jej ubyło
ale noc może być także pół-nocą jak pół-miłość
jak każde pojęcie którego desygnatem jest ulotność
– mrok

i znowu musiałem unieść głowę madonnie

panie po co ta szopka – martwe obrazy zaległy muzea
(mają tę cenną zaletę że nie zawalają ulic) –
a pan tu z żywym obrazem folkloru jaki czy co
niech się pan nie wywnętrza z bebechami to na śmietnik
to
zakłócanie porządku ja panu pokażę

próbowałem ocucić madonnę

GRABARKA

(moralitet)¹

1. Małgorzata i Mistrz²

Brzydkie żółte kwiaty, Małgorzata,
niespełnienie tli się w żółtych kwiatach

– Przeraża mnie intymność, powszedniość zła
– mówi Małgorzata. – Jest jak zapomniana chusteczka,
jak...

Można przecież tak zwyczajnie odejść,
pozostanie po nas tylko sen jak krąg na wodzie

– Ciemność nadciągająca znad Morza Jońskiego...
– mówi Mistrz.

2. Małgorzata

moje małe wewnętrzne zło
żar odmieniony w żal
(jaskier tli się, nie serce, jaskier
ku jego ciepłu nachylasz twarz)

moje małe wewnętrzne zło
bywa skwerem pokojem dachem
to taki cichy zwodniczy cień
cień olbrzyma i karła

moje małe wewnętrzne zło
mam nadzieję mamy nadzieję
nachylić je ku dobru

¹ Pretekstem do napisania tych wierszy stało się podpalenie cerkwi Przemienienia Pańskiego w Grabarce w nocy z 12 na 13 lipca 1990 r.

² Swobodne odwołanie do powieści Michała Bułhakowa „Mistrz i Małgorzata”.

3. Odkupienie

każdy grzech ma szansę odkupienia
wiara jak promyczek spaja ciszę
wiara jak promyczek draży winę

a co z winą która już nie przynależy
do żadnego z nas z osobna
z grzechem prawa idei i państwa
ze społeczną winą złego sądu uprzedzenia
co zyskała ludzką sankcję?

4.

cerkiew płonie
odchyliły się od żaru dłonie sosen
pośród krzyży zawirował kłęb
rozgrzanego powietrza
osmalił stare stareńkie
drewno

cerkiew płonie – ikonostas gubi swoje twarze
ewangelia święta marszczy kartki
jak ćmy czarne tańczą w ogniu –

tak umierają ołtarze

a cmentarne w krąg tłoczą się cienie
Panie kto tę cerkiew zapalił
czy Zło czy Cierpienie

5. Herostrates i odbudowa

ołtarz spłonął krzyże ocalały
Herostrates dźwiga swoją pamięć
burzyciele świątyń wszelką wielkość
już zmierz yli kamykiem

pył po cerkwi szary pył proch drogi
wiatr rozsiewa po równinie
masz na stopach
warstwę pyłu gdy układasz nowy
święty mur

* * *

pochowaliśmy głowy w piasek
codzienne strusie
o giętkich szyjach długich nogach

które z zadęciem na półboga
kreślił technik kreślarski w biurze projektowym

w chwili marzenia

piasek na swoją osypującą się szeleszczącą
głębnię
a filozofia piasku pustynna i płynna jest
uwaga! tu wkraczamy w psychologię głębi
może Junga jeden gest?

to nieprawda że rozłożył nas Fromm
na czynniki pierwsze

przecież tam gdzie głowa jest dom
i można pisać wiersze

KONFRONTACJE

Jeszcze jeden przechodzień
chciałabym popatrzeć
jak mu kaktus na dłoni rośnie a rajskie jabłuszka spadają
z gałęzi jego głowy – To przerwa
w rozmowie o miłości

A tak naprawdę to chcieliśmy zobaczyć
tylko konie aż przezroczyście
w powietrzu którego pęd
niósł nas ku nieskończoności
słowa

Zobaczyłem siebie w albumie jej twarzy
Zobaczyłem się ze znajomym mieliśmy do omówienia
dużo mało ważnych spraw a jednak
nie mogliśmy się wyminąć on był wtulony w historię
istniał retrospektywnie to nie znaczy że nierzeczywiście
nic już nie znaczy więcej niż
zbyt ostra fotografia na witrynie twarzy

Przecież nie jestem taka statyczna coś porusza się
we mnie miękkie zwierzątko ostrzące pazurki na jelitach
i koła pociągu który przez nas jedzie
mają stukot miarowy jak spazm

Nie miałem prawa pytać jej o przepustkę mimo że
wszystkie posterunki są moje
straż
na hasło mojej twarzy otworzy mi wewnętrzne
przekonanie

PODRÓŻ

najistotniejsze
ingeruje w twoją podróż
w oszklony zaulek samochodu wnika
ostrą krawędzią prostokątnej zieleni

kiedy szepczę Boże obcuje z ideą
z dysonansem z harmonią
jeszcze szczypta abstrakcji a
poza system orbit wyrzucona muszla
errare humanum est

tak jawi się morze –
poplątanie linii dobrze że nieregularne
opływowe że rwą się
na tafli horyzontu
jeszcze jedna przygoda z nieomylną logiką
jeszcze jeden kraniec symbolu

obcowanie –
dotyk przez infantylną chustę
zapachu
mówisz tam pewnie macierzanka kwitnie
wysoko podnosisz kolana
jeszcze jedną linię –

mocna
napięta lina na której rysuje się spojenie
nerw
po nerwie

jeszcze cię uchwycę ale
poza logiką w nad- podświadomości
w nieświadomości zbiorowej ślinią się

lasy wieczne ostępy zbłąkanej zwierzyny
tam cię chwycę za sierść jakie masz mocne uda
złamałaś się w pęcinach kopytka poszły w las
krwawisz a od zapachu rojno mi w powietrzu
pod poruszoną skórą jarzą się przebiegłe
ślepia chrząszczy

najistotniejsze
ingeruje w twoją podróż

* * *

na tej grządce nic już nie urosnie
chyba że ościenie
zerujące na rybach brzuchach i skrzelach
pamiętasz odwinęłaś rękaw a pod nim pulsowała
różowa bezradna miękkość
barwa przemija w skrzelach odcienia się
w siność
tak wyglądają i ręce i wargi po wylewie
oścień
utkwil w twej głowie i nie daje odetchnąć
ostatniej myśli która owija się
jak pajęczyna wokół tematu uprawy
uprawiałam swoją ziemię najpierw dziewiczą potem
płodną potem wypaloną przez słońca wszystkie całej
ziemi

i nie było tu nawet harmonii kamieni
jak w japońskim ogrodzie
popatrz to powietrze tak płynie przepływa
jak pierwotny ocean każdy mój kształt
już przestaję być kształtem zacieram się falą
kolejnego odpływu

na tej grządce
zasadzisz mi krzyżyk
jak wisiołek utkwil między
piersiami
jak pełnią tej ziemi i nowiem
księżycyca

* * *

czy przekroczysz wraz ze mną tę najgłębszą
granice
za którą jest już tylko zmienność
krzaki goreją pod sklepieniem czaszki
w rozdygotanym śnie
a Bóg pojawia się czasem w smudze dymu
czy zapomnisz tam moje imię
zobaczysz mnie
kobietę dwurogą wychodzącą z morza
niosącą na czole znak na odwołany sąd
czy żywi powstaniemy tam z martwych by całować gorący
wciąż gorący człowieczy proch
może staniesz się jednym z jeźdźców tak lubiłeś konie
będziesz cwałował po czaszkach i piszczelach wciąż
w głąb
siebie tego nieba którego nigdy
nie zdołasz otworzyć
chyba że wyjmiesz swoje serce
z wciąż prawdziwym Bogiem

Posłowie

Irena Słomińska otwiera tom „Pogranicza” słowami: „poczekaj na mnie przyjdę północną / porą”. Nie o nocną porę schadzki podmiotu lirycznego toczy się tu jednak gra, ale o sposób zaistnienia w wierszu i takie zabranie głosu, jakiego możliwość uzyskujemy jedynie stojąc w pół drogi, w przejściu, w rozpięciu i zawieszeniu – ranie, do której poetka odwołuje się też w motcie, objawiającej się u „pogranicza snu” i na „obrzeżu myśli”. Ten silny akcent, od którego zaczyna się książka, wyznacza dramatycznie egzystencjalny ton zawartych tu wierszy. Ciało wysuwa się na pierwszy plan jako *locus* mowy – obszar, na którym pojawiają się znaczenia, jak „kropelki potu” i „brzmienie głosu”. W tomie tym ciałem się pisze i czyta („mówiłaś że poezję czytasz ciałem”), a powierzchnię wierszy pokrywają symptomy człowieczeństwa zawarte w literach, które ugrzęzły gdzieś w ciele („twój marznący ślad / stopniał w gorączce liter”).

Irena Słomińska dołącza tym samym do nurtu *écriture féminine* – strategii literackiej polegającej na wpisaniu różnicy płci w poezję za pomocą powrotu do cielesności. Podejście to ma na celu ukazanie, jak działa „myślą wędrujący dotyk” i jak możemy odbierać „słowo sens dotyk który mnie maluje”. Wyparte, umartwione ciało musi być przywrócone samemu sobie, bowiem „od skóry się nie ucieka do skóry się dochodzi / żmudnym wysiłkiem palców co niejasne bruzdy / żłobią w ciele jak w wodzie”. Tym samym wiersz staje się polem zmagania, gdzie sensualizm i duchowość muszą ścierać się nieustannie, ujawniając bądź otwierając rozdarcia i bruzdy, zadając cięcia, które stają się ustami i przemawiają do nas językiem czułości i bólu: „w rozdarciu / sprawdzamy się najpełniej / w rozdarciu / mamy skrzydła”.

Tak jak i my, wiersz musi przypomnieć sobie i odzyskać „zaufanie tkanek”, zespolić się, zasklepiając dychotomię natura – kultura. Ta ostatnia bowiem sztucznie usuwa cielesność, instalując w jej miejsce ducha. Owszem, kultura sprawia, że poruszamy się w świecie idei, ale jesteśmy „mimo to tacy realni / wyskakujące w dotyku łasiczki mięśni / wężę ciebie taka miękka sierść / porosła naszą czułość”. Do tej rzeczywistości, jej prawdy i możliwości poetyckiego zapisu wiele wierszy w tym tomie uparcie powraca.

To rozwarcie, rozsunięcie granicy, na której pojawia się mowa wiersza, funkcjonuje zarazem jako figura otwarcia się na inne, na obcość i zewnątrz. Jest więc też znamieniem dojrzałości – umiejętności wyjścia poza narcyzm i wejścia w dialektykę, która z góry zakłada bolesne ścieranie się ze światem, wędrówkę „po krzyżujących się splątanych chaotycznych szlakach / swych ucieczek cierpieniem znaczonych jak głógiem”. Wiąże się z tym jednak nieodparta radość uczestnictwa w kruchej wspólnocie, której obraz rozwijają dobrane w pary piosenki oraz erotyki. Problem receptywności jest zresztą kluczowy dla całego tomu – wciąż powraca kwestia wypartego marzenia, by zamknąć się w solipsyzmie, odwołać świat i zatopić się w oceanie niebytu, gdzie „rana zastygła i przerosła usta // po słodycz głogu jak po ból”. Nie ma na to jednak zgody w wierszach Ireny Słomińskiej, gdzie śmierć nie jest tylko frywolnym marzeniem eskapisty i prostym rozwiązaniem. To coś więcej – „święto”, do którego obchodów przygotowujemy się całe życie, ucząc się umierania właśnie w tekście, w snuciu nitki indywidualnej historii, w odmierzaniu czasu „kruchym naczyniem ciała”.

Ten szlak – wyznaczany przez rytm wiersza i oddechu, rytm pracy igły, która prowadzi ścieg, płotąc *textus* (łac. splot, tekst) – naznaczony jest bólem, którego metaforycznym obrazem w tym tomie jest głóg. Roślina ta, dla Greków związana z nadzieją i małżeństwem

(ozdabiano nią ołtarze Hymena), według późniejszych wierzeń wiązana jest też z koroną cierniową Chrystusa. Jest więc głóg figurą łączącą dwa światy – „głóg krwi / miłość” – monetą o dwu obliczach, janusowym emblematem życia, które odczuwa w sobie pulsowanie popędu śmierci, ale nie porzuca wiary w sens działań kulturotwórczych.

Ów wymiar cywilizacyjny pojawia się w dalszej części tomu, który konsekwentnie rozszerza swoje intymne granice, by w końcu wrócić do swego początku. „Pogranicza” rozpoczynają się od kontemplacji skierowanej ku wnętrzu, która ujawnia, że leży tam „różowa bezradna miękkość”, naga fizyczność, z której rodzi się słowo. Dalej wiersze podążają poprzez spotkanie z innym (mężczyzną, człowiekiem) i różnorakie historie kobiece, by w końcu dotrzeć do spraw o szerokim, kulturowym wydźwięku, gdzie refleksji poddane są takie motywy, jak alienujące życie w mieście czy też status sacrum w nowoczesnych społeczeństwach. Ta ewolucja, której nieuchronnym kresem jest oczywiście śmierć, jest sama w sobie figurą życia i przekraczania własnych granic, wiecznego cyklu ek-staz (termin Heideggera). W tym ujęciu pojawia się jednak filozofia błędu – podejście „errare humanum est”, które nakazuje patrzeć na ludzkie problemy i dokonania przez pryzmat zasadniczego braku, pewnej niedoskonałości lub części przeklętej, tkwiącej w człowieku od zarania dziejów. Błąd ten, czy też rana – usta, a więc język – sprawia, że podejmowane przez nas trudy nie dają wiecznotrwałych rezultatów, ale sytuują nas w pozycji istot samoświadomych. Ta sytuacja jest, w pewnym sensie, piętą achillesową ludzkości, przekleństwem i błogosławieństwem, choć „taką piętę / można ze czcią całować”.

Człowiek, wedle tej antropologii, trudni się wieczną odbudową i niszczeniem: „ja jestem przemijaniem i wciąż cię rozkruszam” – na wzór Penelopy wciąż pleciemy i rozplatamy zwój życia, za każdym razem dokła-

dając coś od siebie, naznaczając ciało, uwodząc śmierć. Irena Słomińska zauważa, że „im bardziej nieudolnie napiszę wiersz / tym bardziej będzie mój”. Sugeruje więc, że żyjemy pośród ruin i być może należy wyluskiwać z nich światło wiersza, wysnuwać linię – linię, po której dociera się do śmierci, ale kreśli przy tym figurę, wiersz, który jest życiem, choć zrodzonym z błędu. Taki poemat to „mocna / napięta lina na której rysuje się spojenie / nerw / po nerwie”. Ten paradoks życia i śmierci domyka metaforycznie ostatni wiersz tomu, który prosi i jednocześnie afirmuje: „o moi umarli / nie odwracajcie karty – / żyję”. Śmierć jest tu zwieńczeniem życia, ukoronowaniem pracy; otwiera, a nie domyka, choć robi to do wewnątrz, a nie w sferę transcendentalnej metafizyki. Śmierć wyznacza szlak twórczego życia, bez niej nie ma poezji.

A więc wiersz jest schronieniem, z wierszy buduje się dom („tam gdzie głowa jest dom / i można pisać wiersze”), dom wiedzy tajemnej, skrywającej prostą prawdę, której sedno leży w wiecznym powrocie, nieustannym przekraczaniu tej samej drogi, którą tyłu ludzi przeszło, choć my, żyjący, wciąż mamy ją przed sobą. Snujemy więc swoje nitki, wersy, szukając spokoju pod dachem ze słów, chroniąc i opiewając naszą śmiertelność, a „wędrujące dłonie wciąż scalają niewidoczną nicią”. Piszemy autoelegie, osiągając stan wiecznego oplakania, wyciągając nieśmiało ręce wierszy „smukłą wicią sumienia wysuwanego ku wam jak czułki”. Wiersze zawarte w „Pograniczach” zapraszają, by czytać je jako gesty cichej akceptacji i zrozumienia. To prawdziwa czułość i sumienie poetyckie, o które upomina się Irena Słomińska w tym tomie.

Grzegorz Czemieli

Spis treści

| | |
|---|----|
| * * * poczekaj na mnie przyjdę północną | 7 |
| * * * ona kształt mój pewnie wieloraki | 8 |
| * * * to mocne | 9 |
| * * * mała medea która drzemie we mnie | 10 |
| Martwa natura | 11 |
| Erotyk I | 12 |
| Erotyk II | 12 |
| * * * tańczę | 13 |
| * * * gdy na nieboskłonie | 14 |
| Czułość | 15 |
| * * * Safona była nauczycielką | 16 |
| Życiorys | 17 |
| * * * ich dwoje | 18 |
| Piosenka I | 19 |
| Piosenka II | 20 |
| * * * od skóry się nie ucieka do skóry się dochodzi | 21 |
| * * * to tylko cisza przyprószyła pamięć | 22 |
| * * * rozpadłam się a ty mnie złożyłeś | 23 |
| * * * malowana rysowana opisana | 24 |
| * * * rozsypać koralem | 25 |
| * * * Panie | 26 |
| Drzwi | 27 |
| Obraz w lustrze | 28 |
| Okrągłe noce | 29 |
| * * * absorbuję ciebie sobą | 30 |
| * * * poszła na odczyt tematem był seks | 31 |
| * * * Ptak się sprężył do lotu | 32 |
| * * * ta pani malowała kwiaty oprócz tego | 33 |
| * * * ona ma dwa przedmioty | 34 |
| * * * kobieta wychodzi ze ściany | 35 |
| * * * kobiecość jak farfurka z porcelany | 36 |
| * * * w starej drwalce rysunki zwierzołudzi | 37 |
| * * * napar rumianku i deski podłogi | 38 |
| * * * jesienią | 39 |
| * * * przypisani do tego domu | 40 |
| Przedmieście | 41 |

| | |
|---|----|
| Poświęcić kłowna..... | 42 |
| Jeszcze o panu M. | 43 |
| * * * marynarze wracają..... | 44 |
| * * * miasto wysuwa swoje macki..... | 45 |
| * * * na ulicy jedności narodowej ostro..... | 46 |
| * * * miasto bez ulic bez latarni..... | 47 |
| * * * w teatrzyku cieni..... | 48 |
| * * * kiedy wojska Franków..... | 49 |
| Antykwariaty..... | 50 |
| * * * wciąż obecny na ulicach miasta..... | 52 |
| Pięty..... | 53 |
| * * * to było tak..... | 54 |
| Grabarka..... | 55 |
| * * * pochowaliśmy głowy w piasek..... | 58 |
| Konfrontacje..... | 59 |
| Podróż..... | 60 |
| * * * na tej grzędce nic już nie urośnie..... | 62 |
| * * * czy przekroczysz wraz ze mną tę najgłębszą..... | 63 |
| * * * gdybym umiała do was trafić ciszą..... | 64 |
| Posłowie..... | 65 |

Stomińska
Pogranicza E0



Książnica Podlaska
im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-BG-0449205

Wytrawna poetka, jaką jest Irena Stomińska, przygotowała do druku kolejny tomik poetycki; zbiorok wysmakowany, wpisujący się w jej dotychczasowy dorobek. Nieprzypadkowo nosi on tytuł „Pogranicza” i motto z jej wiersza. Sugeruje ono ciągle przekraczanie granicy, „za którą jest już tylko zmienność”. Poetka zwraca się do czytelników z pytaniem i zachętą: „czy przekroczysz wraz ze mną tę najgłębszą / granicę”? Zachęca do wędrówek na pogranicza. Są to różnorodne wędrówki. To pogranicza dobra i zła, śmierci i życia, jawy i snu, w głąb siebie i ku niebu, harmonii i dysonansu, realności i wyobraźni, relacji między kobietą i mężczyzną, pogranicza człowieka i czasu, jaki mu dano. Owe bliskie i odleglejsze pogranicza każdy czytelnik może mnożyć oraz wyznaczać sobie własne odległości. Autorka poszerza je także o pytania i poszukiwania dotyczące miejsca poezji, jej pozycji w tradycji i sposobie budowania świata lirycznego.

Irena Grabowiecka



9 788360 368763